GRZEGORZ KAPLA

NAD RZEKĘ, KTÓREJ NIE MA

Podróż przez Amerykę Południową od Miraflores do Rio

LIRA
WYDAWNICTWO

NAD RZEKĘ, KTÓREJ NIE MA

GRZEGORZ
KAPLA

NAD RZEKĘ, KTÓREJ NIE MA

Podróż przez
Amerykę Południową
od Miraflores do Rio

LIRA
WYDAWNICTWO

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022

Redaktor prowadząca: Ewa Kubiak
Redakcja: Emilia Zwoniarska
Korekta: Roman Bąk
Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski
Projekt makiety: Igor Nowaczyk, Magdalena Wójcik
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszewska

Zdjęcia na okładce: Kelly Repreza/unsplash.com,
Kobby Mendez/unsplash.com, Willian Justen de Vasconcellos/unsplash.com,
mormota/depositphotos.com
Zdjęcie autora: ©Maciej Zienkiewicz Photography
Źródła ilustracji: archiwum autora

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydanie pierwsze
Warszawa 2022
ISBN: 978-83-67084-44-4

Wydawnictwa Lira szukaj też na:

Druk i oprawa: Pozkal

7 ..... Rozdział pierwszy. **Lima**
31 ..... Rozdział drugi. **Ferrocarril**
51 ..... Rozdział trzeci. **Huaytapallana**
71 ..... Rozdział czwarty. **Dolina Mantaro**
87 ..... Rozdział piąty. **Ayacucho**
117 ..... Rozdział szósty. **Cuzco**
143 ..... Rozdział siódmy. **Machu Picchu**
173 ..... Rozdział ósmy. **Titicaca**
203 ..... Rozdział dziewiąty. **La Paz**
225 ..... Rozdział dziesiąty. **Huayna Potosi**
255 ..... Rozdział jedenasty. **Uyuni**
285 ..... Rozdział dwunasty. **Ziemia diabła**
305 ..... Rozdział trzynasty. **Santa Cruz**
327 ..... Rozdział czternasty. **Yerba Mate**
359 ..... Rozdział piętnasty. **Nad wodą wielką i czystą**
391 ..... Rozdział szesnasty. **Miasto Aniołów**
417 ..... Rozdział siedemnasty. **Nad rzeką, której nie ma**

— No cóż — powiedział Pan Doktor — trzeba by sprawdzić, czy coś tam w panu nie rośnie.

— Ładnie, kurde, ładnie — wzruszyłem ramionami. Bo co możesz zrobić, jeśli rośnie?

Biegłem przez las, jak co dzień. Te same znane do znudzenia kałuże i korzenie. I nagle przyszło mi do głowy, że w ogóle nie mam ochoty biegać. A tu masz: kiedyś będzie ostatni raz. I może się okazać, że nie za dwadzieścia lat, ale na przykład jutro. No bo co możesz poradzić?

Więc ta książka jest o dniach, które warto było zapamiętać. Na wypadek gdyby coś jednak urosło.

Rozdział pierwszy

LIMA

1.

— Kiedyś wszędzie będzie tak samo jak wszędzie: takie same reklamy, takie same domy, ubrania — pan szofer kręci głową nad kondycją naszych czasów — takie same telefony i takie same komputery.

— I taki sam interfejs Facebooka — dodaję w myślach, bo za diabła nie wiem, jak powiedzieć po hiszpańsku „interfejs". A pan szofer po angielsku nie za bardzo.

Leciwa Toyota, wkład pana Fujimori w sentymentalną duszę Latynosów, mozolnie toruje sobie drogę w okolicach parku Los Solados.

Na desce rozdzielczej ktoś przykleił gumowego aniołka. Farba oblazła, ale on wciąż pilnuje, żeby Toyota w coś nie przywaliła. Za oknem chaos miasta w południowym smogu.

— Zobaczysz pan — potakuje sam sobie pan szofer — takie same smartfony i takie same aplikacje. Zostaje kilka drobnych różnic: ceny benzyny, dopuszczalna ilość alkoholu we krwi, wysokości stóp procentowych w kredycie hipotecznym. No i akcent. Bo kiedyś wszyscy będziemy mówić po angielsku.

Kiedy byłem małym chłopcem, nie można było kupić cukru, najeść się do woli parówkami na kartki ani wyjechać gdzie wzrok nie sięga. W każdym razie nie tam, gdzie nie sięgał wzrok generała. Teraz mogę jechać, dokąd zechcę, więc oglądam Limę przez otwarte okno taksówki.

— Ciasno, ale nie ma korka — tłumaczy mi pan szofer. Cierpliwie i powoli. Jakby to mogło sprawić, że zrozumiem go trochę lepiej. Nosi wielki zegarek w srebrnej kopercie, pewnie fałszywkę kupioną na Mercado Central i koszulkę w kratkę. Czyściutką. Zazdroszczę miejscowym tego, że się wcale nie pocą.

Kiwam głową i upycham zmęczenie pod powiekami. Ich kanciaste krawędzie uwierają jak niezapłacone rachunki. Nie spałem w samolocie. Bo jak tu spać, kiedy pod tyłkiem Panta-

nal, dżungla pełna jaguarów i mrówkojadów, Andy, Titicaca, Machu Picchu i zagubiona pośród gór wąska stróżka kolei. Cała moja trasa. Droga, którą wymarzyłem sobie przed laty w zapomnianym przez Boga i panią sprzątającą w barze w San Pedro de Atacama. Upijaliśmy się z Nenadem Vojnowskim, podróżnikiem-fotografem. Rozstawiał statyw w najdziwniejszych światach i robił panoramy. Dwanaście fotografii, w sumie 360 stopni. Lodowce, pustynie, wielkie miasta. Na każdym zdjęciu był on. Tak jakby szedł przez tę panoramę. Wtedy mieliśmy za sobą burzę piaskową na Atakamie, więc należało nam się trochę wódki. Nie wiadomo, z czego pędzi się wódkę w San Pedro. W każdym razie pije się ze szklanek.

— Następnym razem w poprzek — powiedział Nenad.

— Co w poprzek?

— Ameryki… Od oceanu do oceanu, przez góry, puszczę, sawannę, wioski i wielkie miasta.

— Mochilleros, una taza mas? — barman postukał wskazującym w butelkę bez naklejki. Skinęliśmy głowami. Nie pożałował. Ameryka nie żałuje ci niczego, jeśli tylko jesteś gotowy. Wypiliśmy. I postanowiłem, że następnym razem w poprzek.

No i jestem.

— Niełatwo żyć teraz z taksówki, narobili tych firm autobusowych bez litości. Każdy, kto ma dość pieniędzy, żeby kupić jakieś japońskie truchło, może zostać przedsiębiorcą. I do czego to prowadzi? — gadanie pana szofera ściąga mnie na powrót w sam środek Limy.

— Jeśli jest konkurencja, to wie pan, taniej jest — właściwie czemu nie popisać się odrobiną wiedzy ekonomicznej z samego środka Europy.

— A tam taniej — macha ręką, a i gumowy aniołek na półce pod przednią szybą kiwa potakująco — ciasno jest. Korki, że szkoda gadać.

Custery i minibusy napierają ze wszystkich stron. Prywatny transportowy biznes Peruwiańczyków, pokręcony jak węzeł gordyjski, bo przecież każdy autobus chce przecisnąć się do

krawężnika. Stoimy. Ktoś trąbi, ktoś klnie, ktoś żuje. Pewnie gumę, ale wolę pomyśleć, że liście koki.

— Palacio de Justicia — mówi pan kierowca.

Monumentalny gmach Sądu Najwyższego wzorowany jest na tym z Brukseli, ale trochę mniejszy. Czy mniejszy budynek oznacza mniej sprawiedliwości?

Zgrzytają hamulce. Podnoszę wzrok. Patrzy na mnie z góry kobieta o czarnych oczach i pokazuje ręką, żebym kręcił.

— Co kręcił? — bezradnie wzruszam ramionami.

Zrozumiała. Celuje palcem w plecak, który leży na tylnym siedzeniu pod otwartym oknem.

— No. Zamknij pan okno — szofer zerka w lusterko — tu kradną w korkach.

— Kto kradnie?

— Ci, co myją szyby. Podleci, złapie plecak i zniknie, zanim pan zdołasz wyleźć na drogę. Trudno wyjść z samochodu w takie korki.

Przewalam się przez siedzenie, żeby sięgnąć klamki gdzieś z tyłu i przykręcam szybę. Cholera jasna. Teraz dopiero będzie gorąco.

2.

Lima, Miasto Królów, Ciudad de Los Reyes, zbudowane na chłodnej pustyni u brzegów jedynej rzeki w tym odludnym miejscu. Trzeba było szaleńca, żeby zbudować miasto kilka tysięcy kilometrów od Europy pośrodku indiańskiego królestwa. Nazywał się Francisco Pizarro. Niechciane dziecko, które matka porzuciła na kamiennych stopniach klasztoru Najświętszej Maryi Panny w Trujillo. Sierota, który został świniopasem i który dowie się, kim naprawdę jest dopiero jako dwudziestolatek… Francisco Zdobywca, towarzysz Balboi, jeden z pierwszych białych, którzy przewędrowali dżun-

glę i zobaczyli bezkres Pacyfiku. Potem będzie jeszcze Pizarro Zdrajcą, który pośle przyjaciela na śmierć i Pizarro Marzycielem, który wyruszy w nieznane, żeby odnaleźć złote miasto Inków. Odnalezienie Ciudad del Oro było największym marzeniem ludzkości od czasu, kiedy św. Helena odkopała resztki Krzyża. Mógł się z nim równać tylko Graal…

Stoję nad oceanem, na wysokim brzegu w Miraflores, najpiękniejszej dzielnicy Limy, i patrzę, jak słońce mocuje się z horyzontem. Niepewne, jakby się bało dotknąć kaktusów na samej krawędzi klifu. Kiedyś Pizarro stał na tym brzegu i miał ręce ubabrane we krwi. Inkowie potrafili zrozumieć kosmos, wybudować drogi przez andyjskie przełęcze, ale nie rozumieli niszczycielskiej siły białego człowieka. Zagarnął ich kobiety, zrównał z ziemią miasta i przetopił złote posągi bóstw na monety.

Pizarro ufał, że jeśli wybuduje dość kościołów, to Bóg mu wybaczy.

Pięć wieków temu nie było tu ani jednego kościoła. Indianie przybywali do wyroczni Huaca Pucllana. Piramida z glinianej, suszonej w słońcu cegły adobe przyciągała wiernych przez kilkaset lat, żeby wreszcie, kiedy nastał czas krzyża i Niepokalanej Dziewicy, utonąć pod stertami śmieci. Odkopali ją po setkach lat robotnicy budujący Miraflores. W ubiegłym stuleciu życie dzielnicy kręciło się wokół neobarokowej katedry, ale dziś kościół łapie trochę słońca w ciasnej resztce nieba, jaką zostawiły mu biurowce. Dziś najważniejsze są sklepy i restauracje Larcomar — luksusowego centrum handlowego na samym brzegu Pacyfiku. Fale roztrzaskują się jakieś sto metrów pod nami. No, może mniej, ale sto brzmi dobrze. I to w każdym języku.

Ktoś dotknął mojego ramienia.

— Jestem Manuel — wysoki, ogolony na łyso, w rozchełstanej koszuli, intensywnie kremowej w zachodzącym słońcu.

— Jestem gejem — Manuel poruszył brwiami.

Nie powiedziałem nic.

— Jestem gejem i lubię, kiedy mężczyzna ma długie włosy — znowu poruszył brwiami — choć u nas panuje teraz moda na krótkie. Znam się na modzie. Jestem modelem, *el modelo*.

Wyjaśniłem mu co i jak. Posmutniał. Ale tylko na chwilę.

— To poćwiczę angielski — wzruszył ramionami, pokażę ci, gdzie mieszkał z Julią Mario Vargas Llosa.

Poszliśmy pod ten dom, a potem do „La Sede" na ulicy 28 Czerwca. Modny klub. Modne dzieciaki. Biały proszek.

— Znam tu wszystkich — Manuel położył mi rękę na ramieniu — i żeby nie było… jesteśmy przyjaciółmi, jak jesteś ze mną, to dziewczyny zrobią ci laskę za dwadzieścia dolarów.

3.

— Miała siedem lat, kiedy ślubowała dziewictwo.

— Komu?

— Jak to komu? Bogu Wszechmogącemu — Julia przewraca oczyma. Jest przewodnikiem po klasztorze dominikanów. Tu nie wpuszczają bez przewodnika. Julia ma ładne usta, włosy rozjaśnione do kasztanowych i udaje, że nie widzi, kiedy omijam zakaz fotografowania.

— Jezus ukazywał się św. Róży jako chłopczyk. Chodzili razem po Limie. Podawał jej róże, a one w cudowny sposób gubiły ciernie. Uplotła mu wianek. Ale on powiedział: róże są dla ciebie, ciernie są dla mnie.

Była najpiękniejszą dziewczyną w mieście, ale umartwiała się i biczowała, prosząc Boga, żeby nie było widać śladów. Chciała być świętą dziewicą. Mówili o niej Szalona Izabela, bo naprawdę nazywała się Isabela a nie Róża. Izabela Flores de Oliva… Przez cały Wielki Post jadła tylko po pięć pestek dyni dziennie — Julia mówi szeptem. Stoimy przed ołtarzem Rosy i może się obawia, że święta się obudzi? Za kryształowym okienkiem drewnianej trumienki inkrustowanej srebrem leży jej czaszka.

Święta Róża z Limy

Róża ma wianek na głowie. I choć to tylko czaszka, wygląda, jakby miała zamknięte oczy.

Obok św. Marcin de Porres. Jego czaszka jest pożółkła od starości, ale kiedyś była biała. Ciemnoskórzy też mają białe czaszki. Pierwszy święty mulat w dziejach świata, nieślubne dziecko rycerza i panamskiej kochanki.

— Ojciec się nim brzydził, bo był czarny. A on marzył, że będzie lekarzem. Tylko kto chciałby, żeby go „leczyły czarnuchy”? — Julia zawiesza głos — nawet nie dostał święceń, bo przełożeni zakonu uznali, że nie zasługuje. Pozwolili mu złożyć śluby po dziesięciu latach, kiedy było już jasne, że jest święty. Miał dziwne zdolności. Widziano go w kilku odległych miejscach w tym samym czasie, jak ojca Pio, przepowiadał przyszłość, leczył i rozmawiał ze zwierzętami.

— Każdy może gadać do kota — uśmiechnąłem się.

— Ale tylko jemu kot odpowiadał na pytania.
— A ty, Julio? Kim jesteś?
— *Soy Peruana* — nie rozumie.
— O.K. Wiem, ale kiedy jesteś w tym kościele, to co czujesz?
— A! Że nie jestem biała?
— No. Że nie jesteś biała.

Patrzę na figury w bocznych ołtarzach. Chaperito, mały biały Chrystus w mundurze marszałka, biały Jan Chrzciciel, białe jak śnieg, spłakane Dolorosy.

— No… nie jestem biała — przyznaje.

Milczymy.

— Co myślisz o Hiszpanach?

Nad nami, na lekkim, kunsztownym, barokowym sklepieniu krzyżują się archiwolty. Złocenia, o których hiszpańscy artyści sądzili, że ucieszą Boga, spływają z gzymsów ponad filarami. W głównym ołtarzu Chrystus, ciągle młody, choć przecież umiera na tym krzyżu już ze cztery stulecia. Oczy wzniesione do nieba, po bokach zamiast Marii i Jana stoją Dominik z różańcem i Franciszek z czaszką. Wszyscy milczą. I święci, i grzesznicy w ławkach przed nami. Czekają.

— Wiesz, kiedy przyjeżdżają tu Amerykanie, opowiadam im o moim kraju, a kiedy widzę zachwyt nad pięknem tych wszystkich dzieł sztuki, mówię: jestem dumna z przeszłości tego kraju. Tak. Jestem dumna. Z tego, co Hiszpanie tu zbudowali też.

— Ale? — czuję, że to nie wszystko.

— Wiesz, jak się nazywa ten przedsionek, gdzie płacisz za bilet? Narteks. A wiesz czemu służy?

Wzruszam ramionami.

— To miejsce dla Indian, którzy nie zostali jeszcze ochrzczeni. Nie mogli iść dalej. Dalej było miejsce tylko dla tych, którym Bóg pozwolił wejść. Przychodzili tu i stali w przedsionku. Starzy Bogowie odeszli. Nowy Bóg kazał im stać w korytarzu. Wy, przybysze ze świata, patrzycie na nas w taki prosty sposób: Metysi, Indianie, potomkowie konkwistadorów. I to wszystko prawda. Wiesz, co to znaczy konkwistador?

Zdobywca?

Si. Ten, co przychodzi spalić twój dom, zabić twego ojca, zgwałcić twoją matkę, a ciebie, kiedy dorośniesz, nauczy, że tak powinno być. Że teraz jesteś naprawdę szczęśliwy. Masz telewizję, Boże Narodzenie, seriale z Netflixa, ubrania z Chin i aplikacje na smartfony.

— A nie jesteś szczęśliwa?

— Jestem. Mogę przyprowadzić ludzi do kościoła z XVI wieku i zobaczyć zachwyt w ich oczach — uśmiecha się — ale tak do końca nie wiem, kim jesteśmy. Jakbyśmy każdą nogą stali gdzie indziej. Nie wiem, kim byśmy byli, gdybyśmy kiedyś mogli wybrać, kim chcemy być…

Z kopuły patrzą na nas aniołowie i święci. Jedni w szatach pielgrzymów, a inni w szatach biskupów. Biskupów jest więcej.

Idziemy długim korytarzem do wirydarza. Wisi tu portret Madonny, która bierze pod poły płaszcza wszystkich dominikanów świata, i obraz z duszą świętego Dominika. Po jednej stronie Dominik. Po drugiej jego dusza biała i przezroczysta idzie do nieba po drabinie.

— *The soul is going to the sky*… — wzdycha Julia.

— *To heaven* — poprawiam. Sky to ten błękit z chmurami. Bóg mieszka *in heaven*.

— Żartujesz?

— Po co miałbym żartować.

— A to nie wiedziałam — uśmiecha się — oprowadzam wycieczki od czterech lat i nie wiedziałam.

Przewraca oczami z takim wdziękiem, że Pan Bóg wszystko jej wybaczy.

4.

Szukałem dworca kolejowego, z którego startuje Transandina — linia kolejowa do Huancayo, którą zaprojektował i zbu-

dował Ernest Malinowski. Była druga połowa XIX wieku i nikomu wcześniej nie przyszło do głowy, żeby przerzucić linię kolejową przez Andy i połączyć brzeg Pacyfiku z bogatymi w kruszce wyżynami po drugiej stronie gór. Sześćdziesiąt trzy tunele o łącznej długości ponad sześciu kilometrów, największy wówczas w świecie most Verrugas o wysokości siedemdziesięciu siedmiu i długości stu siedemdziesięciu pięciu metrów. W sumie sześćdziesiąt mostów i wiaduktów. Kolej wjeżdżała na wysokość 4818 m n.p.m. Materiały budowlane transportowano na plecach. Malinowski opuszczał się na linach w otchłanie wąwozów, żeby montować podpory wiaduktów. W XX wieku człowiek nie potrafił wybudować porównywalnej linii kolejowej. Dopiero kolej tybetańska, chiński projekt z XXI wieku wspiął się o dwieście pięćdziesiąt metrów wyżej.

Ale gdzie jest ten dworzec!?

— No tutaj, po schodkach w dół i za kratę. Ale musisz przyjść w piątek — powiedział mi ktoś po angielsku — w piątek jest pociąg, wtedy otwierają kratę i możesz kupić bilet.

— Żartujesz? Sądziłem, że dworzec jest zawsze otwarty.

— Nie. Tylko wtedy, kiedy jedzie pociąg.

Wróciłem w piątek.

— 110 soles — pani w kasie oceniła mnie i zważyła w jednej chwili.

— A turistico? — w cenniku wiszą dwie opcje: turystyczna i klasyczna.

— Turistico jest dwa razy droższy.

— Aha… to niech będzie ten tańszy.

— Wolne miejsca są na wtorek.

W niedzielę przypadkiem spotkałem w kościele faceta, który stał przed zamkniętym dworcem. Kościół de La Merced skusił mnie tą wylewną, barokową fasadą z balkonem, z którego wychyla się Przenajświętsza Panienka. Wszedłem, stanąłem w narteksie. W miejscu, które katolicy wymyślili dla Indian, nieochrzczonych, cudzołożników, morderców

i tych, którzy nie zasłużyli, żeby usiąść przed ołtarzem. Msza po hiszpańsku jest taka sama jak po polsku. Nudziłem się. Nie rozpoznałem go, zanim nie odwrócił się na znak pokoju. Miał ciepłą, suchą rękę.

Dotrwaliśmy do końca i poszliśmy na piwo do baru na placu San Martina.

Znam ten bar, bo nad nim mieszkam w starym kolonialnym pałacu przerobionym na hotel. Ma reprezentacyjne pokoje z widokiem na Plac i tanie klitki z oknami na patio, a to znaczy, że rano słyszysz odgłosy śniadania, a nocą krzyki sąsiadów wyzywających od kurew dziewczyny, z którymi przyszli z baru. Podobno San Martin był kiedyś Grand Hotelem. Bar jest na dole. Usiedliśmy przy stolikach na zewnątrz, bo kiedy słońce już zajdzie, powietrze w Limie jest zaskakująco czyste. Bez spalin i bez tej cholernej mgły. Jakby Bogu zagubiła się ta godzina pomiędzy zmrokiem a chwilą, w której przez niecierpliwość cieni przecisną się demony. Wtedy święci mogą ze sobą obcować, pozamykani w kościołach na cztery spusty. Szepty krążą pomiędzy szklanymi trumienkami pośród złotych ołtarzy. Miał na imię Carlos.

— Jesteś gejem? — zapytał.

— Nie. Dlaczego?

— Myślałem, że nie, ale nosisz długie włosy.

— Nie, nie jestem gejem.

— A ja jestem.

— Kurwa, czy wy wszyscy jesteście gejami?

— Wszyscy nie. Ale nadszedł czas, że możemy się policzyć. Mamy parady, nosimy transparenty…

— Ale chodzisz do kościoła.

— Chodzę. Bo ja wierzący jestem. Masz z tym problem?

Nie miałem. Wypiliśmy po dwa crystale i pokazał mi nocne życie Limy (ze mną nikt cię nie ruszy, a mnie się nie musisz obawiać, lubię twoją skórę na rękach, mówią o nas *mariposo*, *mariposa* to znaczy motyl, wiem, że wiesz, ale *mariposo* to fajne słowo nie? Nie. Fajne słowo to jest po czesku: *tieplouszek*, mówisz po czesku? Nie, ale znam kilka fajnych słów. Co to znaczy

tieplouszek? Taki, co lubi ciepełko. Ja lubię). Nocne życie kręci się w okolicach uniwersytetu. Posiedzieliśmy w całodobowej aptece, która należy do kochanka Carlosa. Biały fartuch na zatrzaski, sterylnie czysto, lekarstwa w takich samych pudełkach jak w polskiej aptece. Pan magister mówił w kilku językach. Poszliśmy zobaczyć studentki, co idą za ciuchy z butiku, i dziewczyny z wiosek, co idą za dwadzieścia dolarów. A jak nie jesteś tłusty i stary to nawet za dziesięć.

— Wieśniacy — Carlos wzrusza ramionami — myślą, że tu jest praca. Dzień w dzień przyjeżdża ich tu pewnie z tysiąc. Mieszkają w slumsach, żrą byle co, myją szyby w korkach, pchają wózki z gównem w Mercado Central. Myślą, że tu będą szczęśliwi, bo jest demokracja, wolny rynek i *hot spoty*.

— A ty? Co robisz?

— Nic. Mówię po angielsku i po francusku. Może znajdę pracę w turystyce. Na razie mam kochanków.

W czymś, co nazwał kofiszopem, a było trzema pustymi stolikami w zwyczajnym mieszkaniu z włączonym telewizorem i dziecięcym łóżeczkiem, które widziałem przez otwarte drzwi, kupiliśmy sobie po skręcie. W telewizji szedł „Latin American Idol". Ufarbowane na blond babsko z kolczykami do ramion, peruwiańska odmiana Kuby Wojewódzkiego, znęcało się nad dziewczyną, co właśnie zaśpiewała jakiś fragment o „tu amor" lepiej niż sama Madonna. Może jej się powiedzie i nie będzie musiała iść z byle kim za szampon i sukienkę.

— Ech — żachnął się Carlos — ciągle tylko te powtórki.

5.

Głowa boli, ale przynajmniej nie rzygałem. Szukam kontaktu. W pokojach bez okien budzisz się i nie masz zielonego pojęcia, która godzina. W pokojach bez okien nie ma radia, a ja nie mam zegarka. Od lat. Odkąd w jakiejś szczelinie na Zamarłej utknęła

mi ręka. I ani w górę, ani w dół. Trudne miejsce, a gdyby tak spojrzeć znienacka, to by się człowiek pogubił ze strachu. Stopami jestem prawie na wysokości lewej dłoni. Bardziej na tarcie trzymają niż na krawądce. Prawa ręka trzyma klamę, ale przecież nie na zawsze. Im bardziej się boisz, tym szybciej pocą się palce. Do przelotu daleko, chciałem zakładać nowy, a tu masz. Ręka w czarnej d. Cała sztuka z klinowaniem dłoni polega na tym, by wyważyć zależności pomiędzy kształtem szczeliny (najlepiej, żeby dłoń siedziała ciasno) i zmienną geometrią szkieletu. Wchodzisz jeden przechwyt wyżej i okazuje się, że ręki nie wyciągniesz. Szarpię dłonią, bo po dobroci nie puszcza. Słońce. Piękny błękit. Piwo na mnie czeka wieczorem. Dziewczyny z Orlej Perci zdjęcia pstrykają, mógłbym je poznać, ale ręki nie mogę wyciągnąć. Prawa już boli. Już mi palce nie trzymają chwytu, łydki drżą. Wiem, co to znaczy. Zaraz wyjadą ze ściany. Zęby wybiję. Kur… Wszystko przez ten zegarek. Ruski. Wostok. Osiemnaście kamieni. Zielona tarcza. Przywykłem do niego, gdyby dotrwał do naszych czasów byłby na Allegro niezłym gadżetem.

— Trach — zegarek poszedł w cholerę, kiedy wyrwałem dłoń ze szczeliny. No i nie mam zegarka od tamtego czasu.

Przywykłem.

Dzielnice biedy na wzgórzach widocznych z centrum starego miasta

Głodny jestem. Palę światło i szukam suchych gaci. Trzeba prać. Każdego wieczora, choćby nie wiem co. Jeśli tylko jest dostęp do ciepłej wody. To jedna z podstawowych zasad życia w drodze: nie odkładaj na jutro niczego co konieczne. Wsadzam gębę pod kran. Uuuu. Jak dobrze wody się napić.

— Może właśnie wciągnąłem jakąś amebę — przechodzi mi przez myśl — ale nie, gdzież tam, przecież to porządna bieżąca woda.

Na Plaza San Martin słońce aż boli. W Limie łatwo się spocić. Zwłaszcza kiedy człowiek zmięty i sponiewierany całym światem, który zostawił za sobą. Może dlatego wyjeżdżam? Żeby zostawić? Niby zapominasz od razu, kiedy tylko zatrzasną się drzwi w samolocie i możesz odpalić telewizorek na siedzeniu przed tobą. Ale tak naprawdę nie zostawiasz nigdy. Ani tych ludzi, którzy nie chcą cię już pamiętać. Ani łóżek, w których miałeś własną poduszkę. Ani tej myśli, że kiedyś trzeba wrócić, a jak tu wracać, skoro nie czeka nic. Pamięci nie da się zamieść pod dywan.

Generał San Martin siedzi na pomniku jakby kij połknął. Wyzwoliciel Argentyny, zdobywca Boliwii, dyktator Limy i południowego Peru przybył do Guyaquil na spotkanie z Simónem Bolívarem wczesnym przedpołudniem 26 lipca 1822. Upał był piekielny. Król Hiszpanii wciąż miał nadzieję na odzyskanie Peru, jego wojska okopywały się na przełęczach Andów, ale Sucre już się czaił u podnóży. Za dwa lata skoczy im do gardła na szerokim plateau Ayacucho i to będzie koniec wojny. Ale jeszcze nie dziś. Dziś San Martin powie Bolívarowi, że zwątpił. Rok temu, kiedy odczytał deklarację niepodległości, był pełen wiary. Ale dziś jest zmęczony dworskim życiem. Po dziesięciu latach w okopach i jadania przy frontowych stołach wyczerpały go pałace, wyfiokowane kobiety i ich otyli mężowie, dbający tylko o pieniądze, kochanki młodsze o ćwierć wieku. — Przyjacielu — Bolívar wyciąga ku niemu obie dłonie. Poeta, który stał się żołnierzem. Żołnierz, który stał się Wyzwolicielem. Zdrajca, bo wszystkiego,

co wie o wojnie, nauczył się w Hiszpanii. Lis, bo pojechał tam właśnie po to, żeby poznać silne i słabe strony imperium. Geniusz. Choć to nie wiersze są jego najważniejszym dziełem, a konstytucje.

San Martin ma na sobie prosty, szary mundur argentyńskiej armii, a Bolívar ociekający złotem mundur Liberatora.

— Zawsze marzyłem, żeby być wyzwolicielem, nigdy o tym, żeby stać się cesarzem — powtarza, jakby się zawstydził.

Zamykają się tylko we dwóch.

— Przyjedź do Limy, a będę twoim adiutantem — mówi San Martin — inaczej wszystko przepadnie. Póki w Ameryce są dwaj wyzwoliciele, Hiszpania będzie zwyciężać. Jeśli będzie jeden wódz, armia Kolumbii pomaszeruje z nim na Peru.

San Martin przyjechał oddać Bolívarowi pełnię władzy. Lękał się chaosu demokracji. Ufał w boski porządek świata, w którym jest miejsce dla szlachty i dla pospólstwa. Dla wolnych i dla niewolników. Wierzył, że jego powołaniem jest bronić świata przed chaosem, a Bolívar wierzył, że wszystko rodzi się z chaosu, nawet jeśli pochłonie najpierw tysiące istnień. Wierzył, że ludzie rodzą się po to, żeby być wolni. I równi. Nawet jeśli niektórzy z nich będą bogaci, a inni będą biedni.

Wieczorem, w czasie bankietu Bolívar wznosi toast: — Za wyzwoliciela Andów, generała San Martina.

— Za republikę — odpowiada San Martin.

Wkrótce San Martin wyjedzie do Buenos Aires, każe córce spakować się i popłyną do Europy. Zostawi Amerykę Bolívarowi.

6.

Kościół franciszkanów wygląda jak jajecznica. Fasada jest żółta, a gzymsy i nadproża śnieżnobiałe. Najważniejszy zabytek Limy. Lista Światowego Dziedzictwa Ludzkości. W środku

Pomnik Simóna Bolívara

czekają nas dwie niespodzianki: tłumy i zakaz fotografowania. Nie wiem dlaczego, ale Peruwiańczycy uważają, że jeśli zrobisz zdjęcie Niepokalanej Panience, to czegoś jej ubędzie.

Najpierw Santuario de Nuestra Seniora de la Soledad — ten mały kościółek przyklejony do wielkiego niczym kocur do pieca. Bliźniacze wieżyczki, niewielki barokowy portalik, odświeżona fasada, podwójne drzwi. Otwarte. Nie ma strażników. Nikt tu nie zagląda, bo przecież to Wielki Brat jest na liście UNESCO. Tak naprawdę są oba, ale Amerykanie sądzą, że jeśli coś jest za darmo, to musi być nic niewarte. Jak greckie obligacje. W środku kobiety we wdziankach w wielobarwne kwadraty splatają ręce na kratach, za którymi święci tkwią w złotych klatkach. Modlitwy matek dziewczyn z uniwersyteckiej dzielnicy przeciskają się przez te kraty jak przez sito. Żeby ich córki miały pracę. I żeby nie musiały wiecie co. I żeby były niskie podatki. I smartfony dla wszystkich.

Za kratą św. Benito. Czarnoskóry z Palermo. Naprawdę był z Messyny, ale kto to pamięta. Poniżali go z powodu barwy skóry, aż ukrył się w zakonie. Przyszedł tam jako pomywacz, a został przełożonym i sławnym uzdrowicielem. Ćwierć wieku po śmierci otwarto jego trumnę, a on jakby wczoraj umarł. Siwy, czarny, prawdziwy. I został patronem Afroamerykanów.

— Pssst! — komuś przeszkodziła migawka. Zawsze się taki znajdzie.

— Blablablas blablablas — syczy mi nad uchem jakaś leciwa zakonnica. Właściwie syczy mi pod uchem, bo malutka jest, jakby się zwijała w pączek.

— O co chodzi, babciu? — mruczę.

— Blablablas blablass!

— Dobrze już, dobrze — chowam aparat do plecaka — kupię bilet, kupię.

Gest, jakim mnie żegna, niewiele ma wspólnego ze znakiem krzyża.

Na podwórzu dopada mnie blask i temperatura wyższa o jakieś piętnaście stopni. Ocieram czoło. Portal większego kościoła, wciśnięty między dwie żółte wieże, pełznie ku niebu plątaniną z kamienia i wiary. Na szczycie gigantyczna monstrancja, żeby wszyscy hugenoci wiedzieli, że katolicy znają się na sprawach nieba lepiej od całej reszty ludzkości. W średniowieczu kościół był przedsionkiem nieba. Jeśli miałeś szczęście, dostałeś wizę. Jeśli nie, to były jeszcze czyśćce i odpusty. Złoto, wysokie sklepienia, święte obrazy. W XVII stuleciu kościół musiał być świadectwem wiary i podkreślić to, co różni protestantów od katolików. Na przykład monstrancja była niczym szalik dla kibiców Legii. Barokowe fasady czyta się jak książki. Podnosisz wzrok, a nad łukiem portalu dwa klucze Piotrowe w kamiennym medalionie — symbol Kościoła. Dalej Madonna z włosami na mokrą Włoszkę. Po lewej św. Franciszek, z pieskiem, bo potrafił mówić ze zwierzętami. Po prawej inny zakonnik, nie poznam kto. Pewnie miał swój atrybut w ręce, ale czas i trzęsienia ziemi odłupały mu ramiona. Gołębie sie-

dzą tylko u jego stóp. Widać boją się pieska. Wysoko nad Madonną Ciało Chrystusa. Drzwi są zamknięte na głucho.

— *Cerrado* — na schodkach siedzą turyści z Japonii.

— Dlaczego zamknięte?

— Skończyli modlitwy. Otworzą do zwiedzania za godzinę.

Odlepiam koszulkę od spoconego brzucha, żeby wpuścić trochę powietrza do gołej skóry. W brzuchu całkiem pusto.

Na całe szczęście jesteśmy kilka kroków od miejsca, w którym można zjeść bułkę z głowizną.

— *Hola Conchita, como estas?*

— *Bien* — uśmiecha się równym, białym szeregiem. W dodatku żadnego sztucznego wybielania. Po prostu — codziennie je kanapkę ze świńskim mięsem i proszę. Nosi czarną, bawełnianą koszulkę z długim rękawem, na nią fioletową bez rękawków, a na to wszystko biały fartuszek. Sanepid byłby zachwycony.

Biorę dwie buły. Jarmuż, słodka cebula i świński wkład.

— Dobre, dobre — zza pleców Conchity wychyla się jej babka. Ma mało zębów.

Uśmiecham się i idę obejrzeć gmach Kongresu. Pilnuje go Simón Bolívar. Wcześnie zrobiły mu się zakola. Miał hemoroidy. Podobno smarował je, jak to było wówczas w zwyczaju, arszenikiem. Pewnie dlatego umarł. Niektórzy sądzą, że otruł go generał Franciszek Santander, żeby Wyzwoliciel nie mieszał mu w wewnętrznych sprawach Kolumbii.

Kiedy Bolívar zaczynał swoją wojnę, miał sześćdziesięciu ludzi i dobrą, napoleońską szkołę. Widział nawet koronację Cesarza. Ale to, co wiedział o świecie, zawdzięczał niewolnicy, Czarnej Hipolicie, i staruszkowi, Simonowi Carreño, który nauczył małego jeździć konno, pływać i marzyć.

W pobliżu miejsca, gdzie stoi Pałac Kongresu, mieszkała z mężem, angielskim lekarzem Jamesem Thorne'm piękna Manuela Saenz. Doktor był stary i bogaty. Ona młoda i piękna. Porzuciła go wiosną 1822 i uciekła do Quito. Spotkała Bolívara na jakimś oficerskim raucie. Wtedy miał jeszcze wszystkie włosy i nie doskwierała mu prostata. Spakowała ciepłe rzeczy

i pojechała na wojnę. Tułała się z kochankiem po obozach i taborach sześć lat. Czasami sypiali w pałacach. W jednym z nich, w Bogocie, zasłoniła Simóna własną piersią, kiedy dopadli ich skrytobójcy. Nie spodziewali się dziewczyny. El Libertador wyskoczył przez okno. To było pierwsze piętro, ale tylko się poobijał. Od tej pory nazywał ją Wyzwolicielką Wyzwoliciela.

7.

Na Mercado Central można znaleźć wszystko, czego zapragniesz. Najłatwiej guza. Albo w pysk. Niezwyczajnych typów kręci się tu od metra. Prezesów w drogich butach i sklepikarzy w plastikowych klapkach. Brzydkich i starych kobiet, które sprzedają cukierki, i tych młodziutkich, podejrzanie świeżych, które paradują z odkrytymi lędźwiami, wpatrzone w ekrany telefonów.

— Lepiej się nie afiszować z portfelem i z aparatem — radzili. Wszyscy, których zapytasz.

W Mercado królują pop i plastik. Chińskie zabawki, hałaśliwe telefony komórkowe, gry, ciuchy, perfumerie. Skwar i pot. Nie ma klimatyzacji. No, w każdym razie nie ma jej wszędzie. Wy-

Budka z jedzeniem przy Avenida Abancay, niemal naprzeciwko peruwiańskiego Congreso de la Republica

Portret Che Guevary, autorstwa domorosłego portrecisty, do kupienia przed Mercado Central

pełzam na zewnątrz. Przysiadam na schodkach obok jednonogiej. Wejście obłożone czarnym marmurem. Na schodach żółte naklejki Sony, Panasonic. Jednonoga nie jest żebraczką. Nie ma kubeczka, nie ma kartonika. Czysta koszula, czerwony bezrękawnik, falbaniasta spódnica. Jeden biały klapek. Plastikowy. Chiński. Nie mówi do mnie nic. Nie uśmiecha się. Nie zauważa.

Dobry znak, jeśli cię nie widzą. W każdym razie dla fotografa. Siedzimy, jakbyśmy byli znajomymi. I tak jednonoga staje się moim kamuflażem. Siedzę i pstrykam. Tych, co noszą na plecach reklamy. Tego, co przyszedł sprzedać swoje odznaczenia, w tym jeden olbrzymi order w kształcie siedmioramiennej gwiazdy ze wstęgą. Policjantów. Złodziei. Cienie. Dzieci. Ich babcie. Żebraka, który czyta sobie na głos modlitwę do Świętej Panienki. I jego kumpla, grubego Indianina, co gra na fletni pana tęskną melodię. Jakbym ją już kiedyś słyszał… Indianin nie ma obu dłoni. Grube kikuty wyglądają jak kiełbasy szynkowe. Wrzucam mu piątaka. Pięć soli wygląda prawie tak jak pięć złotych. Bezręki trzyma kubeczek między kolanami. Jak on wyjmuje te monety?

8.

Pomyślałem, że zajrzę jednak do franciszkanów. Żal mi będzie, przecież to najsławniejszy zabytek. Zakaz fotografowania. Kolejka do kasy. Potem mnóstwo czasu, bo trzeba poczekać na anglojęzycznego przewodnika.

— Hiszpańskojęzyczny?
— Też trzeba czekać, ale krócej.
— Więc może być hiszpański.
— Ale bilet trzeba zapłacić jak za obcy język.
— Dlaczego.
— Bo się krócej czeka.

Pani w kościelnej kasie UNESCO właśnie nauczyła mnie, że czas to pieniądz. Czekamy. Nuda. Nic się nie dzieje. Pod nami, w kryptach leży jakieś siedemdziesiąt tysięcy szkieletów, więc i my możemy trochę poczekać.

9.

Był kiedyś ksiądz. Miał dwadzieścia lat, kiedy wstąpił do franciszkanów. Marzył o podróży do dalekich plemion. Ale najpierw kazali mu dziesięć lat trwać na pokucie. Dziesięć kolejnych był gwardianem w klasztorze. Polubił swój świat od furty do kaplicy i od kaplicy do furty i mógłby tak trwać po kres. Ale nie tak miało być.

— Ruszysz w drogę, Franciszku — usłyszał w przededniu czterdziestych urodzin.

Milczał. Już nie był chłopakiem, który marzył o innych światach. Teraz bolały go zęby i z trudem oddawał mocz.

Po kilku tygodniach zobaczył morze.

Już na oceanie odkrył, że pod pokładem okrętu gnieżdżą się w brudzie, urynie i głodzie czarni niewolnicy. Okręty pływały wtedy wolniej niż dzisiaj. Nauczył się czarnego języka. Opowiadał o miłosierdziu ludziom w kajdanach, a oni uwierzyli, bo spośród wszystkich chrześcijan, jakich znali, on jeden nie lżył ich i nie poniewierał. Ochrzcił ich, ale cudu nie było. Mieli już dusze, ale wciąż byli niewolnikami. Nie wolno im było wyjść na pokład ani załatwić się na osobności. Na Karaibach dopadł ich sztorm. Utknęli na mieliźnie przy nie-

znanym brzegu, galeon nabierał wody. Kapitan zdecydował, że trzeba wyrzucić balast, a nie było w ładowniach nic prócz niewolników. Zostali na brzegu ze swoim księdzem.

— Jeśli kogoś ochrzcisz, jesteś za niego odpowiedzialny — powiedział swoim braciom kapłanom, ale nie rozumieli, dlaczego zostaje.

Inny okręt natknął się na nich po ośmiu miesiącach. Wciąż żyli.

Franciszek Solano przewędrował potem pieszo przez Peru, Paragwaj, Boliwię i Argentynę. Widział śniegi Andów, żółte popioły Altiplano, dżunglę i bezkres zielonych stepów pampy. Nie miał butów z goretexem, karty kredytowej, ani nawet kawałka nieprzemakalnego plastiku na grzbiet. Był, jak na tamte czasy, starym człowiekiem, klasztornym gwardianem

Portrety władców Inków i królów Hiszpanii jako sukcesorów inkaskiego państwa to malowidło, które można zobaczyć w katedrze w Limie

przywykłym do posiłków o ustalonej porze i czytania wkoło Macieju jednej i tej samej księgi. Miał dar języków. Nauczył się przynajmniej siedmiu. Może dlatego mu wierzyli? A może z powodu skrzypiec? Bóg jeden wie, jak potrafił je nastroić w tym podłym klimacie, ale grały. I na wysokościach. I w wilgotnym mroku dżungli.

W kościele pod wezwaniem świętego Franciszka Solano wciąż można zobaczyć jego palec. I skrzyneczkę pełną miniaturowych figurek: Chrystusa, apostołów, Przenajświętszej Panienki i Żydów. Za pomocą tych figurek uczył Indian naszego świata. Przewidział trzęsienie ziemi w Trujillo. A potem swoją śmierć.

— Umrę w czasie mszy świętej — powiedział — w tej chwili, kiedy kawałek chleba zmieni się w ciało Zbawiciela.

I tak właśnie umarł, w czasie Przeistoczenia, w Limie, w kościele, przy klasztorze franciszkanów. Podobno anioły zleciały, kiedy umierał, ale kto by tam wierzył starym mnichom w to, co zobaczyli w blasku świec.

10.

Przy Głównym Placu (z powodu poprawności politycznej śmierdzącą prochem nazwę Plaza de Armas zastąpiło gładkie Plaza Mayor) stoją naprzeciw siebie katedra z pałacem arcybiskupim, ratusz i pałac prezydencki. Arcybiskup, prezydent i burmistrz patrzą sobie na ręce. Pizarro tak to obmyślił: władza królewska i kościelna miały symbolicznie pozostawać w jedności. Katedra, pałac biskupi i prezydencki wyglądają jak na początku XVII wieku. Przebudowami i rekonstrukcjami kierował Ryszard de Jaxa Małachowski. Może to dzięki jego polskiej ręce w Limie jest tak swojsko?

W katedrze, w pierwszej kaplicy po prawej stronie leży w szklanej trumnie truchło Francisco Pizarra. Nie był świę-

tym, to prawda, więc jego córka uzależniła finansowanie budowy katedry od przebaczenia dla konkwistadora. I Kościół mu przebaczył. Pan Bóg chyba też, bo trumna przetrwała kilka trzęsień ziemi. A ziemia trzęsie się tu często. Naukowcy twierdzą, że to wina Pizarra, bo zbudował Limę na progu tektonicznego uskoku. Indianie też uważają, że to wina Pizarra, bo postawił katedrę na ruinach inkaskiej świątyni.

— Cienie zabitych ludzi nie mają spokoju. Dlatego ziemia się trzęsie.

Ale tak po prawdzie nie trzęsła się już od dawna. I już tak zostanie. Po co się tym kłopotać, skoro w końcu kiedyś wszędzie będzie tak samo jak wszędzie.

Madonna z bocznego ołtarza w limańskiej katedrze